

MAŁY LEKSYKON POETÓW LUBUSKICH

Ptaki przelotne

Andrzej K. Waśkiewicz

Nigdy nie był to ośrodek na tyle atrakcyjny, by miał moc przyciągania. Ruch odbywał się wewnątrz środowiska. Zasilali je kolejni debiutanci, tu urodzeni i wychowani. Ci nieliczni, którzy – począwszy od lat sześćdziesiątych – przyjeżdżali jako początkujący bądź już ukształtowani pisarze, najczęściej po krótkim pobycie wyjeżdżali. Chyba tylko przybysz z Wrocławia, Witold Niedźwiedzki zdomowił się na stałe. I Waldemar Mystkowski, który przyjechał tu ze Słupska w 1982 r, mając w dorobku trzy tomiki.

Zresztą najczęstszym pobyt wiązał się z zatrudnieniami zawodowymi, rzadziej – stypendialnymi. I z reguły nie pozostawiał większego śladu, ani w ich twórczości, ani w życiu środowiska. Pobyli, pomieszkali, wyjechali.

W sumie kilkanaście osób. Bogdan Loebel (1932) przebywał tu w latach 1962-

1963, otrzymał stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki na napisanie powieści o „Polskiej Welnie”. Był wówczas autorem witryny zatytułowanej *Wiersze*, wydanej nakładem Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy w Opolu (1960) i arkusza *Szkic do pejzażu* (1961) wydanego w serii „zeszytów poetyckich” wydawnictwa „Iskry”; zdaje się, że w czasie pobytu w Zielonej Górze ukazał się zbiór *Pozapromienne*, nagrodzony w 1963 r. nagrodą „Peleryny” za najlepszy debiut poetycki. Stypendium (jeśli czegoś nie mieszam) zaowocowało powieścią *Zabij ją i wyjedź z tego miasta* (ukazała się w r. 1979, wznowiona wraz z drugą częścią zatytułowaną *Nie zabijaj* w r. 1985). Czy szlachetna idea stypendium się zrealizowała, nie podjąłbym się orzekać. „Wszystko tu jest bez sensu, obrzydliwe i bez nadziei. Loebel zresztą nie znosi małych miasteczek [...]

– pisze Piotr Kuncewicz w w *Leksykonie polskich pisarzy współczesnych* (1995).
– Świat, tak czy owak, jest miejscem brzydkim, okrutnym i posępnym”. Ludzie zresztą nie lepsi.

Loebl w Zielonej Górze był krótko, w lokalnych działaniach nie uczestniczył. Odcinał się też wyraźnie od tła. Tu bowiem dominował model pisarza-działacza, życiowo i zawodowo ustabilizowanego, który prócz zawodowych zatrudnień, zajmuje się pracą organizatorską. Loebl nic z tych rzeczy. Gdy pojawiał się w Klubie Dziennikarza odróżniał się nawet zewnętrznie: nosił modny wtedy sweter z wycięciem w łódkę, bez koszuli, coś takiego tu raczej wtedy nie było przyjęte. No i miał poczucie wartości. Pamiętam, że gdy, początkujący, o coś go zagadnąłem odrzekł chłodno: na coś się, proszę pana, trzeba zdecydować. Pisanie albo działanie, pisanie albo praca.

Bywały wszakże historie bardziej skomplikowane. W latach sześćdziesiątych domem kultury w Krośnie Odrzańskim kierował Jerzy Jankowski, poeta z wrocławskiej grupy Dłaczego nie, blisko związanej ze studenckim czasopiśmie „Poglądy”, sygnatariusz jej manifestu. Drukował sporo w prasie („Poglądy”, „Współczesność”, „Kierunki”, „Wrocławski Tygodnik Katolików”, „Pomorze”) oraz w dwu almanachach – wrocławskim *Dojrzewające słowa* i ogólnopolskim *Almanachu młodych*. Był także działaczem studenckim – kierował klubem „Hades”, przewodniczył Komisji Kultury Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich, był kierownikiem literackim „Kalambura” i współzałożycielem teatru „Człowiek XX”. Już w 1956 r. opublikował wiersze w paryskiej „Kulturze”, potem drukował także w prasie niemieckiej i szwajcarskiej. W 1961 r. wybuchła afera i został zwolniony z pracy. Pobyt w Krośnie był więc rodzajem wygnania i azylu. Nie pamiętam, by utrzymywał kontakty ze środowiskiem zielonogórskim, choć – zdaje się – drukował w „Nadodrzu”. Zresztą, mówi mi

Janusz Koniusz, po kilku latach przeprowadził się do Zielonej Góry i pracował jako urzędnik. W 1969 wrócił do Wrocławia. Książki poetyckiej nie wydał, zajął się pisaniem tekstów popularyzatorskich, scenariuszy telewizyjnych, redagowaniem czasopism fachowych.

Równie krótko mieszkała w Zielonej Górze Salomea Kapuścińska (1940), która przyjechała tu z Olgierdem Łotoczko, pisującym dość interesujące prozy poetyckie. Była wtedy autorką debiutanckiego zbioru *Chłodno jest oczom* (1962), jednoaktówki *Kabina nr 5*, wystawionej przez teatr „Kalambur”, a także słuchowisk i opowiadań. Pracowała jako kierownik działu oświatowego Muzeum Ziemi Lubuskiej. Chyba po roku powróciła do Wrocławia.

Były wszakże przypadki dość skomplikowane. Janusz Olczak (1941) był właściwie rdzennym Lubuszaninem. Urodził się wprawdzie w Stołpcach pod Nowogrodkiem, wychował się wszakże w Skwierzynie, dokąd przybył wraz z rodzicami w ramach akcji repatriacyjnej. Tu skończył liceum, po czym przez rok studiował historię w gorzowskim Studium Nauczycielskim. Potem przeniósł się na polonistykę na UMK w Toruniu, po roku przerwał studia i zatrudnił się w różnych mało atrakcyjnych zawodach, dokąd nie upomniało się o niego wojsko. Gdy odszedł, w latach 1962-1966 pracował jako nauczyciel w różnych szkołach w województwie zielonogórskim. A potem podjął studia polonistyczne na KUL (1967), gdy je ukończył w r. 1971 przez parę miesięcy pracował w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL, po czym powrócił do Skwierzyny. I tak na przemian przemieszczał to w Skwierzynie, to w Lublinie, aż w 1977 zamieszkał w Lublinie na stałe. Zmarł tam w 1991 r. Był przede wszystkim prozaikiem, uprawiał także literaturę dla młodzieży, nawet się z tego utrzymywał. Pisywał też wiersze (*Okolice skwierzynne*, 1982, *Mój autoportret* z Saskią, 1986, *Czarne i czerwone*, 1990), podobnie jak proza utrzymane w rubasz-

no-groteskowej tonacji. Piotr Kuncewicz powiada o nich, że bywają „niekiedy całkiem wdzięczne”. Wszelako tego znaczenia co proza nie mają. Jak znaczna część starszych autorów lubuskich (mnie nie wyłączając) ma także epizod baśniopisarski: tom *Baśni lubuskich* wydany przez LTK w 1988 r.

Z lokalnego punktu widzenia istotne znaczenie ma ta część jego twórczości prozatorskiej, która stanowi rodzaj kroniki osiedleńczej. Zbieg okoliczności (a także pokrewieństwo losów autorów) sprawił, że akcja tych tekstów toczy się w okolicach nieodległych od tych, które opisywał Zygmunt Trziszka, I w jednym, i w drugim przypadku prawdziwie ważne dokonania mieli gdzie indziej, mniemam wszakże, że i te są godne pamiętania.

Byłoby dziwne, gdyby w swych niustannych wędrówkach o Ziemię Lubuską nie zawadził też Aleksander Rozenfeld (1941). Co prawda tego epizodu nie notuje biogram w 7. tomie słownika *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury* (2001), mam go wszakże w żywej pamięci. Było to tak, że pewnego dnia, mniej więcej w połowie lat sześćdziesiątych, pewnie w r. 1966, do Wydziału Propagandy WK ZSL, gdzie stało moje biurko redaktora „Gazety Chłopskiej” przyszedł młody człowiek, powiedział, że nazywa się Aleksander Rozenfeld i jest Żydem, po czym spytał, gdzie może spotkać Janusza Koniusza i w którym pokoju w KW urzęduje Adam Markusfeld, bo musi się z nimi spotkać. Dodał też, że umówiony jest z prezesem i posłem Stanisławem Romanowskim, ale akurat go nie ma, więc wpadł do mnie, i że przyjdzie po spotkaniu. Przyszedł rzeczywiście, ale po paru godzinach i odmieniony nie do poznania.

Przyjechał, mówił, rannym pociągiem z Warszawy. Do spotkania miał jeszcze parę godzin, więc łąził po ulicach. Kobiety wracały akurat z nocnej zmiany w Polskiej Welnie, zaczepił jedną i poszli do niej. Co tam robili, detalicznie się nie rozwodził, wyjaśnił tylko, że wzięła mu koszulę do

prania. Na audiencję u prezesa i posła zjawił się więc w swetrze, bez koszuli. Prezes spojrzał na niego z niejaką pogardą i spytał:

– Koszulę macie?

– Nie – odrzekł Rozenfeld.

– A garnitur macie?

– Nie mam – odpowiedział Rozenfeld.

A wtedy prezes sięgnął do kieszeni, wyjął portfel.

– Macie i kupcie. Bez garnituru nie wracajcie.

Dostał 500 zł, starczyło. Prezes rachunku nie żądał.

Potem Olek opowiedział mi co go skłoniło do przyjazdu. Historia miłosna. Chodził mianowicie z córką wysoko postawionego działacza ZSL (czy nie J.O.-M.?), ten postanowił pozbyć się absztyfikanta, więc zadzwonił do Zielonej Góry, i polecił go zatrudnić. Na bilet też dał, mówił Olek.

I tak został działaczem politycznym ruchu ludowego. Jeśli dobrze pamiętam – instruktorem PK ZSL w Świebodzinie. Jakieś mieszkanie (marne i zawilgocone, mówił) dostał. By je umeblować zgłosił się po pomoc do żarskiego oddziału Stowarzyszenia Żydów w Polsce. Opowiadał mi, że był już wiarygodny. Miał pracę, mieszkanie. Więc ci, co mu udzielili pomocy mogli być pewni, że nie pójdzie na zmarnowanie. Nie byłem dla nich głupi biedny Żyd – mówił.

Kto choć trochę zna i Olka, i ruch ludowy domyśli się, że z jego robotą polityczną musiało być co najmniej osobiście. Za któregoś pobytu w Zielonej Górze (ale raczej prywatnego, bo nie pamiętam, bym go spotykał na odprawach instruktorów PK) powiadomił mnie, że właśnie się żeni, i w związku z tym się ochrzcił.

A później, dość szybko, wyjechał, chyba do Kielc, gdzie podjął pracę w Dzielnicowym Domu Kultury, niedługo potem się rozwiódł. Ale ślad i ślubu, i konwersji pozostał. Debiutancki arkuś poetycki *Do ciebie mówię* wydany w roku 1971 w katolickim jak najbardziej wydawnictwie

„Pax” podpisany jest nazwiskiem Rozenfeld-Bożeński (żona miała na imię Bożena).

Zdaje się, że na okres zielonogórski przypada początek jego aktywności literackiej. Wiersze, bywało, przepisywał na maszynie w WK ZSL, niektóre mi pokazywał. Zapamiętałem jeden z cyklu wierszy o matce, różny od późniejszych wersji.

A potem spotykaliśmy się a to w Warszawie, a to w Gdańsku. W Zielonej Górze co tydzień prawie.

W połowie lat siedemdziesiątych, za dyrekcji Ryszarda Żuromskiego, w zielonogórskim teatrze pracował Bogusław Kierc (1943), sławny już wtedy rolą Krzysztofa Cedry w *Popiołach* Wajdy, autor dwu tomów poetyckich *Nagość stokrotna* (1971) i *Ciemny chleb* (1973), teatralizacji *Wiosny dziejowe Juliana Przybosia* (1969), członek, już wtedy chyba rozwiązanej, grupy poetyckiej Ugrupowanie Literackie 66. Ponieważ był wciąż jeszcze młody, mogłem jego wiersze umieścić w almanachu *Moment wejścia* (1976), chyba najobszerniejszy zestaw, spośród wszystkich prezentowanych tam autorów. Już wtedy był to poeta wybitny.

Ale, jak to tu z reguły było, śladów po sobie większych nie zostawił. Choć zapewne młodzi, zwłaszcza interesujący się teatrem (a za dyrekcji Żuromskiego, były i studenckie premiery, i nocne dyskusje, teatr, jakby nie było zawodowy, oddziały-

wał na rodzący się studencki ruch teatralny) czytali jego wiersze. Jakież ślady są w tekstach debiutujących wówczas Jerzego Habicha i Andrzeja Webera (wydał tom *Uciec jak najbliżej* w VI serii „Pokolenia, które wstępuje”, 1979). Albo może tak mi się tylko wydaje, może oddziaływała tylko ogólna atmosfera?

W 1989 w 11. serii „Pokolenia, które wstępuje” tomem *Pestki i ogryzki* debiutował Dariusz Muszer (1959), absolwent prawa na UAM, wtedy instruktor teatralny w Domu Kultury w Strzelcach Krajeńskich i laureat kilkudziesięciu konkursów poetyckich. Kiedy wyemigrował z kraju, przynam – nie wiem.

Czy to wszyscy? Zapewne nie. W Zielonej Górze rozegrała się cała kariera literacka Mirosławy Kužel (1945), skądinąd mojej pierwszej żony. W 1970 r. w serii LTKL wydała arkuś poetycki *Zaklinania*, a w LSW tom *Z białego drzewa* za który otrzymała nagrodę „Poezji”.

A potem już, czego moja pamięć nie obejmuje, znam to z opowieści i publikacji, było zwyczajnie. Ludzie przyjeżdżali, wyjeżdżali. Piszących było wielu. Pojawili się np. piszący księża, z natury profesji labilni, wędrujący po parafiach i domach zakonnych. Studenci też. Rozjeżdżali się po różnych ośrodkach. No i społeczeństwo stało się bardziej ruchliwe. Dlaczegoż spod tej reguły mają być wyłączeni piszący?

I-II 2006

Książki wydane w Gorzowie

Czesław Sobkowiak

Pegaz gorzowski

Gorzowskie środowisko literackie istnieje już sporo lat. Ma charakter peryferyjny, jak wiele jemu podobnych, choć ten wyznacznik stracił chyba w ostatnich latach na pejoratywnym znaczeniu. Przechodziło różne przemiany, a w ostatnim czasie sukcesywnie się rozwija. Po pierwsze, motorem tegóż jest Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, którego redaktorzy (Krystyna Kamińska i Ireneusz Krzysztof Szmidt) wkładają wiele troski, by ukazywały się lokalne książki literackie, po drugie, w ubiegłym roku powołano tu oddział Związku Literatów, co konsoliduje literatów wielorako (już niezależnie od tego, co wymyślić zdoła dotychczas jedyny lubuski oddział w Zielonej Górze). I po trzecie, trwa działalność „warsztatowa”, której zadaniem jest podnieść u początkujących adeptów pióra poziom słowa literackiego tudzież wyłowić objawiające się talenty.

Jak wiadomo nie wystarczy pić wódki i funkcjonować za życia „już ikonicznie”, co może ma swoje plusy towarzyskie, ale przede wszystkim trzeba być zdolnym do ciężkiej, samotnej pracy, która owocuje książkami. O książkach właśnie, które w ubiegłym roku w Gorzowie wydano, chciałbym skreślić zdań kilka. Tak się złożyło, że pięć zbiorów poezji, opublikowanych w ubiegłym roku nakładem „Arsenału”, trafiło do moich rąk. Pięć, czyli wcale nie tak mało. Są to: „Ludzkie pojęcie” Ireneusza Krzysztofa Szmidta, „Noc jest bezwstydną” Małgorzaty Prusińskiej, „Krople” Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej, „Żywe kamienie” Marka Kierusa i Stanisławy Plewińskiej „Przyloty, odloty”.

Postarano się przy tym w każdym przypadku o oprawę plastyczną (liczne ilustracje), które jednak nie zawsze przypadają mi do gustu, a zwłaszcza, co istotniejsze, wyposażono wyżej wymienione zbiorki we wstępy (w przypadku tomiku Prusińskiej aż dwa), posłowia, noty biograficzne oraz (uwaga!) wywiady. Te wszystkie zabiegi mają w intencji wydawcy promować wydrukowane treści, pomóc czytelnikowi zrozumieć nie tylko sens, ale i wartość poetyckich dzieł, dowiedzieć się sporo o samych autorach. Mam jednak wrażenie, że skutek może być odwrotny od zamierzonego. Nadmiar sugestii, moim zdaniem, nie zawsze dobrze służy percepcji. Gdyby tymże sugestiom bezkrytycznie dawać wiarę, to należałoby debiutancki tomik Małgorzaty Prusińskiej „Noc jest bezwstydną”, opatrzony wstępami I. K. Szmidta i Cz. Markiewicza, uznać za objawienie artystyczne nieporównywalnie wielkie co najmniej w skali regionu. Można się nad słusznością takiego postawienia sprawy zastanowić. Po prostu nie zawsze emocje tam, gdzie potrzebny jest namysł i rozsądek, potrafią się należycie polecanemu towarowi przysłużyć.

Refleksje o nas

Książką w tym zestawie, w mojej ocenie, najcenniejszą jest przede wszystkim zbiór wierszy I. K. Szmidta „Ludzkie pojęcie”. Poeta, choć jak się wydaje ciągle młody duchem, należy do zdecydowanie starszej generacji (rocznik 1935). Jego spojrzenie cechuje dojrzałość i krytycyzm. Udziałem tego wojennego pokolenia było doświadczyć

wielkiego rozczarowania. Nadzieje i obietnice powojennego ładu uległy daleko idącej dewaluacji. To, z czym kojarzył mu się w powojennych latach humanizm zostało odłożone na półkę. Potrafi gorzowski poeta łączyć w swoich wierszach osobiste doświadczenia z obserwacjami ogólnymi, co sprawia, że jego poezję cechuje dramatyzm. Znaleźć więc można wiersze będące gorzkim świadectwem epoki a zasadniczo trzech epok. Uwzględniają aspekty polityki jak i osobistego życia. O oszustwie zwłaszcza minionej epoki, która milionom kazała wierzyć, że zapanuje na świecie „braterstwo, równość i szczęśliwość powszechna” pisze we wstępie „Krótki kurs polityki dla starych i młodych poetów”. Podobnie patrzy na wydarzenia ostatnich lat. Pisze z nerwem, w tonie przestrogi, by poeci, zwłaszcza młodzi, nie dali się zwieść hasłom i złudzeniom. Wskazuje na potrzebę uwzględnienia w sztuce kontekstu politycznego, tematu społecznego. I jest w tym sporo racji, gdy się zważy jak rzadko i mało w najnowszych dokonaniach właśnie tego typu refleksji. Jakby całą istotą sztuki miało być pogrążenie się w rozchwianej i nieweryfikowalnej subiektywności.

Dla Szmidta świat, to „Krajobraz po”, zmierzający do gorzkich finalnych celów. Zamykający wizji i zjawisk. Podmiot doznaje poczucia bezradności jak i trwogi i lęku o dzień następny. Istotne jest też, że ci którzy potrafili objąć i wyrazić rzeczywistość już odeszli: „Poumierali nam poeci”. Biologicznie poumierali niemal wszyscy wielcy i ważni. Ale rzecz też w tym, że we współczesnym świecie już nie ma klimatu dla poetów, nie ma dla nich miejsca, ani oczekiwania na ich słowa, zabrakło idei, natchnień, bezinteresownej refleksji, ambicji i chęci przekraczania granic materialistycznego widzenia. Teraz „Przyszło nam żyć bez marzeń trzeźwo”. Nastąpił model konsumpcyjny. Mimo to nie serwuje nam Szmidt filozofii rezygnacji lub klęski. Stara się wrażliwie uruchamiać to wszystko, co w człowieku prawdziwe i autentyczne i na tej bazie formułować niepokojące, nieobojętne pytania o nasz wspólny los i byt. Myślę, że tego rodzaju dyskurs stanowi o sile tego zbiorku i żywiole. Pisany wierszom towarzyszy mimo wszystko przekonanie, że: „nasze słowa / posyłamy je w świat / jak najdalej”.

Tonacja i stylistyka tych wierszy nie jest jednolita. Zniecierpliwienie, ironiczne, retoryczne pytanie i sarkazm bądź groteskowe, swoiście satyryczne, obrazowanie dotyczy najczęściej współczesności. Daje też obraz podmiotowej kondycji. Krytycyzm wobec skutków przemian zdaje się nie mieć końca: „I cóż się porobiło na tym łez padole ? /.../ płacemy jak nigdy w historii / - wolni od cudzych ale od siebie niewolni”. Poeta nie akceptuje ceny, jaką wyznaczają konieczności obecnego czasu przejściowego. Po ludzku mamy do czynienia z okrucieństwami, ze „spadaniem z pięter ideałów”, twarzami bezdomnych, „ludzi głodnych” itp. Na to wszystko nie może być zgody. A zwłaszcza na skarleńnię duchowe. Nie brak tu tonu oskarżycielskiego, poddającego w wątpliwość powszechną moralność, nie brak próby rozrachunku czynionego nie wyłącznie z dys-tansu, ale raczej z pozycji uczestnika. A więc i sprawcy, kogoś kto nie zwalnia siebie z poczucia winy: „gdy przez lata się żyło / w pogardzie dla lustra”. Nie zawsze jednak chce się przyznać poecie rację. Dlatego, że ważkie zagadnienia przybierają postać doraźnego felietonu poetyckiego. A wiadomo, generalizowanie na tym poziomie niekoniecznie może być prawomocne. A tu wiara w prawomocność słowa poetyckiego ma być niebagatelna. Chodzi w końcu o wzgląd na powagę ludzkiego losu, tragizm życia, ból i sprawiedliwość, których nie chce się minąć ani przemilczeć. Bardzo ważny w tym kontekście i zapewne dla autora również niezwykle istotny jest przejmujący poemat „Podróże z ojcem”.

Rytuały codzienności

Natomiast na tym tle czytane wiersze Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej z tomiku „Krople” muszą jawić się jako przykład poezji ściśle podmiotowych, delikatnych

wzruszeń, które uwzględniają wymiar kobiecego widzenia świata. Mamy tu tonację konfesyjną, klimat rozmowy z samym sobą o tym wszystkim co niesie doświadczanie wieku średniego. „Myśli niemoty / skołtunione / pierzchają poza krąg światła”. Jakże więcej wtedy wiemy o życiu, jakże inaczej próbujemy odczytywać jego sens. Ma wartość nie piękno w ogóle, abstrakcyjne, ale piękno poszczególnej rzeczy i sytuacji. Podmiotową mądrość określa zdolność dostrzeżenia wszystkich „odłamków życia / usypanych za progiem / Z czterech ścian domu”. Umieć odnaleźć swoje ja w tak zakreślonych granicach, to zapewne też znaleźć swoje miejsce w życiu. Czy jednak zupełna zgoda na bieg życia, jego monotony rytuał i układ: „dom praca praca dom” jest możliwa? Raczej nie, o czym te wiersze także świadczą. To, co z zewnątrz wydaje się szczęśliwie uporządkowane, od wewnątrz rodzi problemy. I mimo wszystko nie da się uniknąć odpowiedzi na pytanie, jak poradzić sobie z dwuznacznością własnej, podmiotowej sytuacji. Z jednej strony zadomowienie – powiedziałbym – a z drugiej, marzenie poetyckie, które uzmysławia istnienie tej zakreślonej wokół podmiotu granicy codzienności.

Droga, jaką przechodzi gorzowska poetka, charakterystyczna jest dla wielu zwłaszcza współczesnych poetek polskich. Warto pod tym kątem przeczytać np. wiersz „Tej z lustra”. Trwanie w codzienności, w jej wszystkich zwyczajnościach i zwykłościach nie obywa się bez dramatycznego wysiłku, bo „tak trzeba / przez tak wypada / do muszę” i świadomości rezygnacji z tego, co byłoby „błędem”. Na tym styku rodzi się jednak potrzeba uwolnienia od determinant. Szansę ich opanowania daje tylko słowo poetyckie. Życie samo w sobie, samo dla siebie, owe „Przesztoroczne gumowce / stara koszula w paski bez barw” jest jak puentuje poetka „niedożycia”.

Takiemu doświadczeniu musi towarzyszyć jakiś alternatywny świat, świat poezji lub wiary religijnej. Skorupska-Raczyńska nie potrafi zdobyć się na zupełną zgodę, ale i jej bunt („Nigdy nie będę Matką Polką”) też ma charakter raczej retoryczny. Nie jest w stanie wybrać, podjąć się pełnienia, to prawda, jakiejś wymagającej poświęceń szczególnej roli. Toteż kompromisowo stara się smakować, ile się tylko da, z zasobu wszystkich dostępnych drobiazgowo egzystencjalnych. Wie jaki jest ich zakres: „Od przedwczoraj do jutra”, „Mamy tylko siebie / aż tyle”. Nieodświętnie, niezbyt foremnie, niekształtnie, niewprawnie. W wierszu określi ten swój świat: „Nie mam zbyt wiele”. Tyle tylko, by jeszcze czasami móc uciec we wspomnienia lub refleksje o tym co miało być, a nie jest. Ale generalnie nawet to mało, co jednak jest, to jest zarazem „Dużo” i wszystko motywuje. Taka jest podstawowa tego tomiku wiara. Nie dochodzi się do niej na drodze poezji tylko, ale tyleż samo w egzystencjalnym milczeniu. W milczeniu, które każe ważyć każde słowo. To tutaj jest szczególnie widoczne.

Mroczne inicjacje

Pisząc o gorzowskich zbiorach mam świadomość, że wydawca szczególnie akcent położył na debiutancki tomik Małgorzaty Prusińskiej „Noc jest bezwstydną”, w tak dalekim stopniu potraktował bardzo młodą autorkę, że niemal wszystko, co spłynęło spod pióra tej jeszcze uczennicy liceum, uznał za rewelację. Przyznam, że jestem pełen podziwu dla odwagi, z jaką publikowane są wiersze nawet z ostatnich miesięcy pracy poetki. A zwłaszcza, że zdołała sobie zasłużyć na tak obszerny tom. Oby nie okazało się, że się nazbyt pospieszono. Samej autorce życzę doskonalenia twórczego i rozwoju talentu, a zwłaszcza aby zanadto do serca nie brała tego, co w dwóch pomieszczonych w zbiorze wstępach o niej i jej poezji napisano. Kiedyś w takich sytuacjach dbano by młodemu autorowi za wcześnie nie mącić w głowie pochwałami o jego wielkości, gdyż skutek może być wręcz odwrotny od zamierzonego. Tu, mam wrażenie, wręcz się prześcigano z formułowaniem superlatyw.

Oczywiście Prusińska może budzić jako debiutantka zainteresowanie. Ten obszerny tomik wskazuje na istnienie dość sporego żywiołu twórczego i egzystencjalnego. Na swoiste zafascynowanie możliwością literackiego bycia. W którym próbuje na byty leksykalne niemal dosłownie przemieniać swoje życie wewnętrzne czy też konkretne doświadczenia egzystencjalne. Można rzec, że te wiersze naznaczone są piętnem mniej lub bardziej bezpośrednio odsłanianego erotyzmu. Mają więc charakter inicjacyjny. I trzeba przyznać, że młoda poetka stara się ujmować te treści nie stereotypowo, nie sentymentalnie. Prowokując, epatując sugestywnie perwersyjną retoryką w rodzaju: „czy ktoś jeszcze / mógłby wejść we mnie / głębiej niż ty /.../ posiąść mnie bardziej / jeszcze mocniej / zagryźć się na mnie / jeszcze silniej mną”. Kreując wyłącznie sensualne wizje relacji partnerskich. Jest w tej tendencji zdaje się obsesyjna. Próbuje eskalować doznania. Dochodzić do krańcowości. Nie unika swoistego sado-masochizmu. Celem ma być nowa jakość emocjonalna. W obrębie literatury takie nietypowe kreacje podmiotowych zachowań zwrócą uwagę, jednak bardzo szybko nużą, gdy wyłącznie w oparciu o nie buduje się wypowiedź liryczną. Tego zdaje się jeszcze nie brać pod uwagę Małgorzata Prusińska. Być może jeszcze nie musi, ale będzie na pewno musiała. Przykładem wartym naśladowania w tym względzie może być jej duchowy patron – Rafał Wojaczek. Zresztą w kontekście liryki autora „Innej bajki” można odczytać większość, jeśli nie wszystkie, jej utwory. Stopień mentalnego uzależnienia musi zastanawiać. Im szybciej zdoła się spod tej presji uwolnić, tym będzie dla jej talentu lepiej. W jego istnienie chcę zresztą wierzyć.

Pozostałe...

Dwie pozostałe książki już nie zdołały wzbudzić silniejszych moich emocji ani większego zainteresowania. „Żywe kamienie” Marka Kierusa obrazują przywiązanie do konkretnych kamieni i drzew naiwnie przeciwstawionych multimediów kulturze. W tak pojętej apologii natury jawi się jego podmiot jednak anachronicznie. Nie tędy droga do krytyki współczesnej cywilizacji. Zresztą język tych tekstów też nie mieni się choćby dozą oryginalności. Jakiegoś wysiłku stylistycznego trudno się dopatrzeć. Za najtrafniejsze teksty trzeba by uznać te poświęcone Gorzowowi – jego ludziom i miejscu. Są przynajmniej kroniką lokalnej społeczności, uruchamiają jej mit.

Trochę inaczej ma się sprawa zbiorku Stanisławy Plewińskiej „Przyloty, odloty”, nacechowanego tkliwą tradycyjnie ludową nutą, obrazowaniem, tematami i wyobraźnią. Tutaj rzecz o tyle jasna, że ta poezja wyrasta z plebejskiej tradycji literackiej, która niejako towarzyszyła pracy w polu, w gospodarstwie. Oddaje jej realia. Poetka wyraża prostą, chłopską wrażliwość, moralność, obyczajowość, tradycyjny ethos. W tym zakresie jest istotna, bo utrwała odchodzący w przeszłość i zmieniający się model kulturowy, w którego centrum było umiłowanie ziemi, domu rodzinnego oraz wartości religijnych. Wiersze, jakie Stanisława Plewińska pisze, wyrastają autentycznie z jej osobistego przeżycia. Jest w nich powaga, troska o bieg powszednich rzeczy, rytm natury, prośba i modlitwa. I osobista prawda życiowa. Myślę, że należy to cenić, mimo że z formami współczesnej poezji niewiele mają wspólnego.

Cóż na koniec dodać. Może tylko to, że w tych trudnych dla literatury artystycznej czasach jednak dzięki takim wysiłkom ciągle możliwy jest rozwój środowisk, a zwłaszcza wyrażanie podstawowych przeżyć i myśli o czasie, w którym przychodzi nam żyć. Spojrzenie z perspektywy Gorzowa jest jednym ze spojrzeń. Szkoda jednak, że w tym wysiłku opisywania świata coraz rzadziej udział biorą prozaicy. W naszych, lubuskich środowiskach po prostu prawie ich nie ma.